

Rafał Sulikowski

ferajna tańczy, ja nie tańczę...

pamiętam tamten taniec ogników pod lasem
gdy wszyscy siedzą i śpiewają razem

jest w tej pieśni cisza i wszystko co trzeba
harmonia zawodzi jak nastoletnie serce
zroszone mokrymi kroplami znad wysokich
mostów tęczy...

w ogniach kiełbaski się opalają
„harmonia na trzy czwarte z cicha łka...”
a mnie z tęczy wódospad prawie spływa
obracam twarz aby nikt jak jeden mąż
nie widział...

dzisiaj przy ognisku w środku letniej nocy
ferajna coraz piękniej tańczy

zanim kur zapieje
wkrótce wczesnym brzaskiem
ktoś kogoś tutaj zdradzi
ktoś snem kamiennym w odmętach
zaśnie...

raczej to czuję – nie wiem tego wcale
że noc ta nie jest dla mnie szara

bo niedaleko i nie ważne jak daleko
gdzieś tam sobie żyje moja ulubiona
powiedzmy oględnie – Dziewczyna...

wszyscy nadal ostro piją
opowiadają góralskie kawały
i nie przejmują się ani tamtym
ani nawet tym światem wcale

palą niektórzy też mosty
z takim trudem od lat budowane
ja nigdy żadnych mostów
za sobą chyba nie palę...

lecz siedząc w kręgu
jak harcerze dawniej
papierosa jednego za drugim

niczym Humphrey Bogart palę
wciąż nie mogąc spalić...

niewiele dalej od ognia
co blade twarze spala
i najtwardsze serca
z nierdzewnej potrafi zmiękczyć
stali...

...jest las ciemny do którego poeta
w połowie życia dostał się
niechęcący

a w krain sennych przestrzenie przedwieczne
wprowadziła go słowiańska dziewczyna
dla niego jaśniejsza niż w zenicie

słońca

to było dawno lecz lasy są wieczne
dzisiaj nieco cierpiące – trochę rachityczne
nie jak u Gołubiewa piastowskie puszcze
szumiące o rycerzach znad kresowych
stanic...

wdzięczna się niesie melodia w dal
są pamiętne słowa naszych prababek
„...dzisiaj u Franka na ulicy Gnojnjej
zebrał się ferajny kwiat...”

i na te słowa coś nagle spokojnego
do serca się wlewa zamyślonego

siedzimy tak długo
śpiewamy pieśni
harmonia przygrywa
zupełnie jak we śnie...

lecz jak to ze snami bywa pięknymi
zwykle się kończą w najmniej chcianej
chwili...

jej tutaj nie ma – ja tutaj jestem
ona jest z nieba – ja z ziemi przyszedłem

ona jest młoda i wściekle bogata
ja młodość przegrywam u progu lata

los zagrał ze mną w znaczone karty
musiałem blefować – taką miała
talię...

pamiętam każdą sekundę
od tych początków – ani jedną wcześniej
chcę życie opisać całe w poezji
lecz nie wystarczy nawet
powieści...

ogień pod dębami wysoko skaczą
ferajna wokół śpiewa i tańczy

hipnotyzują płomienie zimną
czarną nocą

i choć jest ciemno
wszędzie widzę jej oczy...

harmonia na trzy czwarte
z cicha łka...

ferajna tańczy,
ja nie tańczę...

bańka...

szukamy wciąż siebie
pośród roju tłumów

dzikich jakie na plaże co lato
wylegają

latem uliczkami nadmorskimi
spacerując
tanim piwem się raczą i włoskimi
lodami

szukamy wciąż prawdy

jednej jedynej i na zawsze

nie wiedząc że to niemożliwe

bo prawdy śmiertelnicy poznać nie mogą
byliby przecież przerażeni albo równi
bogom...

codziennie wstajemy z nadzieją
że to właśnie dzisiaj jest ten dzień
szczególny

zamiast porannej modlitwy
pocztę obsesyjnie sprawdzamy

mając nadzieję na wiadomość
życia

lecz przeważnie puste są foldery
pustoszeją też co noc dusze

i coraz chudsze mamy
portfele...

co chwila sprawdzamy fejśa
może wreszcie ten ktoś
wymarzony się odezwał...

i to rozczarowanie wieczorne przed snem
że znowu ten dzień – to nie ten dzień

wiadomość życia nie nadeszła
i nic się wielkiego nie zdarzyło ...

idziemy spać z nadzieją
że jutro będzie lepsze

i telefonu doczekamy się
z nieba...

i tylko czasem w snach jest
nam schronienie

gdy jawa jest nie
do zniesienia

znam dobrze ten ból
każdego ranka

„ach, to znowu tylko sen,
czar prysł jak mydlana
bańka...”

